For Ever More

JULIA BIEL

For Ever More

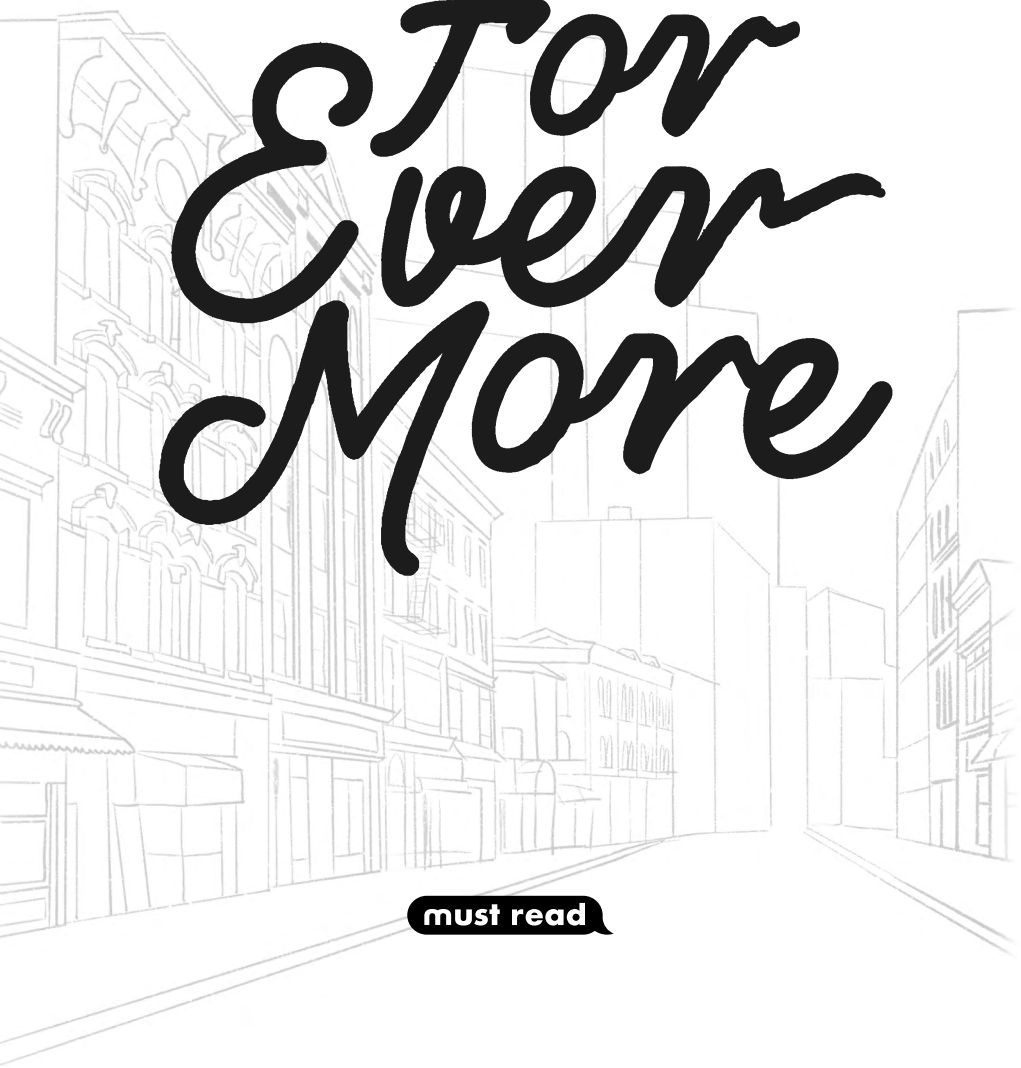

must read

Copyright © 2022 by Julia Biel

Copyright © 2022 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-266-6

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i łamanie
Radosław Stępniak | SRSLY studio

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Lubisz absurdalne dedykacje?
Ta książka jest dla Ciebie.
Jeśli klikniesz opcję Nie zapisuj,
tymczasowo będzie dostępna
ostatnia wersja tego pliku.
Dowiedz się więcej

For Ever More — playlista

Hey Siri
Salem Ilese

As It Was
Harry Styles

Delicate
Taylor Swift

Falling
Harry Styles

Love Like That
JC Stewart

Infinity
Jaymes Young

Sweater Weather
The Neighbourhood

Call It What You Want
Taylor Swift

Fkin' Perfect**
P!NK

City of Stars
Ryan Gosling & Emma Stone

Evermore
Taylor Swift

Hold My Hand
Lady Gaga

Zamiast wstępu

Ashton

Mój najlepszy przyjaciel chciał mnie wpędzić do grobu.

Zrobiłem to, co zawsze — jak niezmiennie od piętnastu lat zachowałem się lojalnie i pojechałem z nim, żeby dać mu wsparcie, a przy okazji odbić Everlee. Tymczasem zanim się obejrzałem, już siedziałem w aucie w drodze powrotnej do Newark.

Bez Everlee. Całkowicie bez sensu i logiki.

Madson skopie mi dupę.

Haven

Całkowity brak kontaktu mógł oznaczać albo to, że Maverick Frost i Ashton Chase nie żyją, albo że owszem, żyją, ale coś poszło nie po ich myśli. Nie po mojej myśli.

Dla ich dobra byłoby lepiej, żeby zdarzyło się to pierwsze, bo jeśli nie, skopię Chase'owi tyłek.

Boleśnie.

Maverick

Czułem się tak, jakby ktoś wyrwał mi ramię, bo serce straciłem już dawno. Nie bardzo wiedziałem, jak mam dalej funkcjonować. Jak miałem wykonać *touchdown* bez użycia piłki?

Nie potrzebowała mojej pomocy, mojej misji, mojego wsparcia. Wiedziała, że je ma, a mimo to odrzuciła je świadomie i zdecydowanie, jakby wystarczyło nacisnąć jakiś przycisk uruchamiający obronę przeciwpancerną.

A przecież ja nie wysyłałem jej żadnych pocisków, prawda?

Prawda?

Mówią, że człowiek powinien wiedzieć, kiedy odpuścić. Zabawne, bo sportowców uczą, żeby nie odpuszczać nawet w obliczu śmierci. Spoko, akurat tę kwestię ułatwia stężenie pośmiertne.

Rozdział 1

Everlee

Miałam wrażenie, że zanim udało mi się zasnąć, minęła wieczność, a skutek był taki, że zamiast osiągnąć choć chwilowy spokój, przewracałam się tylko z boku na bok. Nawet w niespokojnym śnie prześladował mnie wyraz rozczarowania na twarzy Frosta — rozczarowania, smutku i rozpaczy, które paskudny pseudosen zniekształcał w nienawiść, wstyd i żal. Uśpione gdzieś głęboko pod moją skórą wróciły teraz ze zdwojoną mocą, żeby mi dokopać, tak jak Maverick dokopał Lincolnowi. A skoro wróciły, wiedziałam, że ponownie czeka mnie bolesna i nierówna walka; walka, którą tym razem byłam zdecydowana oddać walkowerem.

Oddychałam ciężko, z trudem powstrzymując łzy.

Obiecałam sobie, że już nie wrócę do tego domu. Postanowiłam zacząć wszystko na nowo i co mi to dało? Nie musiałam spać, żeby zanurzyć się w koszmarze; moje życie już teraz było niczym pieprzony sen!

Kiedy wczoraj przekroczyłam próg, stanęłam nieco nieporadnie w korytarzu i zadrżałam. Co miałam tu robić? Zagłodzić się na śmierć? Zapić? Zapłakać? Nie było przy mnie nikogo i niczego, skąd mogłabym zaczerpnąć

nieco energii. Na górę nie dałabym się zaciągnąć ani wołami, ani obietnicą stosu sztabek złota.

Weszłam przez wyłożony jasną wykładziną korytarz do pokoju dziennego z otwartą kuchnią i rozejrzałam się jeszcze bardziej nieporadnie niż przed sekundą. Musiałam przytrzymać się futryny, żeby się nie przewrócić.

Powiodłam wzrokiem po meblach i ścianach, po wyciszonych sprzętach, które sprawiały wrażenie, jakby umilkły specjalnie po to, żeby mnie jeszcze bardziej nie przestraszyć.

Parter był w porządku — bolesny, ale nie tak bolesny jak piętro.

Bo na piętrze koczowały demony.

Cofnęłam się do komórki po lewej stronie przed wejściem do kuchni i przekręciłam gałkę, żeby wejść do środka. Na metalowych regałach zalegały puszki i przetwory, kartony z rzeczami z przeszłości i pudła z rzeczami na przyszłość.

Mieliśmy tyle planów! Chcieliśmy objechać całą Amerykę, hodować żółwie i papużki, mama marzyła o lekcjach tańca, a tata o produkcji noży. I co?

Nie ma co odkładać planów na później, na kiedyś, nie ma sensu chomikować przydasiów i zamykać rzeczy w pudełkach. Bo potem można te wszystkie pudełka zamknąć w komórce pod schodami. Albo spalić.

Maverick to zrozumiał. Pojął, że nurzanie się w przeszłości i projektowanie nieokreślonej przyszłości nie ma sensu. Dla niego było jasne, że trzeba żyć tu i teraz. Nie czekać na piątek, piąteczek, piątunio, nie wyglądać weekendów, świąt, dni wolnych od pracy i wakacji.

Trzeba żyć na tysiąc procent każdego dnia, jakby był tym ostatnim.

Trzeba ratować, kogo się da. Teraz.

Tyle że ja mu na to nie pozwoliłam. Założyłam, że chce mnie podejść i osaczyć, więc kluczyłam wokół niego jak dzieciak na hulajnodze trenujący slalom. Wzniosłam wokół siebie warstwę stereotypów grubą jak niedźwiedź jesienią i choć Maverick bez trudu się przez nią przebijał, nie słabłam.

A teraz zostałam sama. Nie miałam rodziców, dziadków, Dylana.

Nie miałam psa, kota ani oswojonego szczura.

Nie miałam nawet okruszyny szczęścia.

Wprawdzie przez kilka miesięcy na wyciągnięcie ręki miałam Mavericka Frosta, chłopaka, który w pakiecie oferował mi wszystko — silne ramię (i granatowe oczy), wsparcie w każdej chwili (słowem, gestem, jeepem, całym sobą), swoich rodziców, swój dom.

Siebie.

Ale mój strach o to, co będzie p o t e m, potem, kiedy się dowie, kiedy pozna Angel, zniszczył wszystko.

Bałam się, że Maverick mnie stalkuje i osacza, bo tylko takie miałam do tej pory doświadczenia, a tymczasem przy pierwszej poważnej konfrontacji powiedział, że mnie uwalnia. Spojrzałam mu w twarz i dostrzegłam coś, czego wciąż nie byłam w stanie pojąć — założył, że skoro to mnie uszczęśliwia, pozwoli mi odejść. Że skoro mu nie ufam, nie będzie się ośmieszał.

Wyznał mi miłość, a ja wyżęłam jego serce jak gąbkę i poprosiłam o druciak.

A następnie brutalnie zdarłam warstewkę tego, co uwarzyliśmy razem.

Jeśli wcześniej myślałam, że jestem sama, to nie miałam pojęcia, jak bardzo się myliłam.

Bo dopiero teraz zostałam sama.

Jak przysłowiowy środkowy palec.

O poranku zakończyłam tortury na kanapie i usiadłam przy stole na stołku barowym naprzeciwko okna wychodzącego na podwórze. Przez szpary w roletach do środka przedostawała się tylko odrobina promieni słonecznych, w których tańczyły drobinki kurzu, oświetlając miejsce, które jeszcze niedawno nazywałam domem.

Przynajmniej w kwestii doglądania mieszkania Dylan mówił prawdę. Blaty i okna lśniły czystością, a w powietrzu unosił się zapach środków czyszczących. Zresztą może po prostu wynajmował ten dom w ramach Airbnb i zamawiał usługę sprzątającą.

Skrzyżowałam przedramiona na stole i oparłam na nich czoło. Postanowiłam umrzeć.

Czułam się teraz tak jak wtedy, bezpośrednio po procesie. Decyzja sądu nie miała znaczenia, moi sąsiedzi i znajomi wiedzieli swoje i wydali swój osąd. Przecież zbrodnia nie wzięła się znikąd. Przecież musiałam sączyć jad tygodniami. Przecież to ja chciałam się wyrwać z tej dziury i to ja sprowokowałam chłopaka do popełnienia zbrodni.

Siedziałam wtedy tutaj, przy tym samym stole, i czułam się jak rozbitek na bezludnej wyspie.

Znikąd pomocy.

Nikt nie dzwonił, nikt nie pisał. Nikt nie szukał mojego towarzystwa. Nikt we mnie nie wierzył. Nikogo nie interesowało, czy żyję.

Dokładnie tak jak teraz.

Wiedziałam, że nie mam nikogo. Miałam za to dużo czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli. Ale w ciągu ostatnich miesięcy otrzymałam w prezencie od losu faceta. Przyjaciela. Gościa, który dostał po dupie od życia tak bardzo, że poszedł na kurs samoobrony. Psychiczno-werbalnej. Przy nim oddychałam iluzją tego, że wszechświat wcale nie ma w czarnej dziurze tego, czy żyję, czy jestem martwa.

Przy Mavericku istniałam.

Dał mi powód, by ponownie pokochać życie. Zdążyłam już zapomnieć, co znaczy żyć, i w końcu z całą mocą dotarło do mnie, jak bardzo mi tego brakowało.

Przyjechałam do New Jersey, żeby rozpocząć Projekt Beztroskie Życie Studenckie, i dostałam w pakiecie przyjaźń, zainteresowanie… a może nawet coś więcej. Ale to wszystko zniknęło z prędkością światła i teraz mogłam tylko żałować, że zakosztowałam normalności.

I że spieprzyłam to koncertowo.

Uświadomiłam sobie, że gdybym naprawdę umarła, nikt by po mnie nie płakał. Pies z kulawą nogą nie zainteresowałby się tym, że mnie nie ma. Moich rodziców zabiły zaślepienie i ufność, a Maverick nie wytrzymał i mnie porzucił.

Spędziłam długie godziny, obserwując fascynujący taniec drobinek kurzu. Kiedy zaszło słońce, patrzyłam

w ciemność, która do złudzenia wypełniała każdą komórkę mojego ciała.

Byłam gotowa tu zostać.

Jednak topiąc się w morzu rozpaczy, zapomniałam, że otrzymałam od losu nie tylko Mavericka.

Bo po nieskończenie długim czasie pojawił się przy mnie aromat słonecznych pomarańczy, a razem z nim szalona Haven Madson, która sięgnęła w czarną studnię mojej duszy i gołymi rękoma dobyła z niej to, co ze mnie zostało. Nie pytała, dlaczego ryczę, i nie próbowała zmusić do tego, żebym przestała. Po prostu mocno mnie trzymała, pozwalając, żeby wszystko się ze mnie wylało wraz z solą, której aż nadto było w moich ranach. Wylewałam więc z siebie żal za utraconym życiem, rozpacz z powodu zdrady bliskich, tęsknotę za rodzicami, głębokie poczucie niesprawiedliwości wobec świata, ból, który stał się nieodłączną częścią mojego istnienia. Płakałam dlatego, że tak bardzo chciałam zacząć na nowo, i dlatego, że nie wiedziałam, jak tego dokonać. Tak bardzo chciałam się uleczyć i zapomnieć. Znaleźć przyjaciół na całe życie. Zatrzymać Mavericka.

Miałam fajne marzenia. Takie nie za małe.

Uczucia minionych tygodni zlewały się w jedno miejsce w sercu i rozlewały na nowo, podejmując wraz z krwią mozolną podróż przez cały układ krwionośny, który ku mojemu zdziwieniu wciąż działał, wciąż wykonywał swoje funkcje. Dlaczego nie umierałam? Płakałam, że nie mam przycisku, żeby się po prostu odłączyć. Tak bardzo bolało.

Jaka byłam naiwna, myśląc, że wszystko mi się uda. Że zapomnę, zaleczę ból, nauczę się żyć i ufać. Najbliższy mi człowiek zdradził mnie i sprzedał, a drugi odszedł rozczarowany mną i moim postępowaniem. Zmęczony brakiem zaufania i głęboko zraniony.

Witaj w klubie, Mav.

Trudno powiedzieć, jak długo płakałam i jak długo Haven trzymała mnie w pomarańczowym uścisku, ale po pewnym czasie szloch ucichł do płaczu, a płacz przeszedł w siąkanie. Kiedy pomarańcze zdusiły także siąkanie, poczułam się wycieńczona i pusta, ale w jakiś dziwny sposób zrobiło mi się lżej.

I wtedy Haven obdarzyła mnie słonecznym pomarańczowym uśmiechem, odsunęła mi włosy z czoła i powiedziała:

— Wiem, że każdy czasem musi wypłakać i wykrzyczeć swój ból i rozczarowanie. — Ucałowała mnie w skroń. — Ty powinnaś zrobić to już dawno, ale nie zgadzam się, żebyś pogrzebała się tu żywcem. Wybacz, że wyciągnę i ten argument, ale, do diabła, Lee, twoi rodzice nie chcieliby cię widzieć w takim stanie.

Popatrzyłam na nią zamglonym wzrokiem. Ile wiedziała? Czy teraz wszyscy na kampusie przekazywali sobie najnowsze wieści o Everlee Angel Jones, dziewczynie skreślonej przez los i odepchniętej przez bliskich? Porzuconej przez ostatniego, najostatniejszego faceta, który miał moc utrzymania jej przy życiu, ale postanowił złamać jej serce, żeby rozsypało się na krwawe diamenty?

— Kiedy chłopaki wyruszyli po ciebie — ciągnęła — przeczytałam o Angel. Wiem o Loganie, wiem o nagonce, wiem, że muszę cię stąd wyrwać. A potem ty i ja skopiemy tyłki Chase'owi i Frostowi za to, że nie zakończyli misji. A ty, moja kochana, musisz wreszcie zacząć żyć.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że nie umarłam, bo mój organizm tylko czekał, aż zdarzy się cud i ktoś mnie wyciągnie z ciemnej studni.

Tym cudem okazała się Haven.

Rozdział 2

Haven

Myślałam, że zniosę jajo (albo co najmniej trzy), zanim ten pochrzaniony Romeo od siedmiu boleści i jego równie popieprzony kumpel wrócą tu z Lee. Nie tylko żaden z nich dwóch — żadne z nich trojga nie odbierało telefonu i nie odpisywało na wiadomości.

„Zostań i czekaj przy telefonie, będziemy się odzywać, okej?" — obiecanki, cacanki. Wystarczyło, że Ash ujął moje ręce w swoje dłonie, a ja już przelałam mu się przez palce jak masa krówkowa. Wyszedł i odjechał, i oczywiście ani razu się nie odezwał. Nie wysłał nawet paru sygnałów dymnych.

Jasne, bo po co? Zostawmy Madson, niech siedzi na chudym tyłku i kwitnie przez trzy dni, nie mając pojęcia, co się dzieje.

Zrobiłam zdjęcie wizytówki Hawkesa, żeby wiedzieć, dokąd dokładnie się wybierają, wyrwałam Ashtonowi kartę magnetyczną do drzwi i postanowiłam czekać u nich w mieszkaniu, aż się pojawią. Jaxowi wcisnęłam kit, że na prośbę chłopaków pilnuję ich mieszkania, więc zabijałam czas, czytając, gotując i modląc się do wszystkich znanych mi wyższych instancji, łącznie z Avengersami, o powodzenie misji Frosta i Chase'a.

Na wypadek, gdyby instancja marvelowska okazała się niewystarczająca, w lewej dłoni co pewien czas ściskałam swój talizman.

Byłam taka zła! I bezsilna!

Gdybym wiedziała, kim był kierowca camaro, własnoręcznie spuściłabym mu powietrze z opon i powybijała szyby. I skopała lusterka.

Martwiłam się.

Umierałam ze zmartwienia.

Znienawidziłam żółte chevrolety camaro i postanowiłam znielubić Bumblebee oraz na wszelki wypadek także wszystkich transformersów.

Już jakiś czas temu doszłam do wniosku, że Maverick i ja jesteśmy tacy sami. Oboje dążymy do ratowania świata, a raczej ludzi, na których nam zależy, choć z różnych pobudek i w odmienny sposób. On walczył oficjalnie, w wojsku, zaciągnął się do armii i zawierzył instytucjom, a ja działałam w partyzantce, nie obnosiłam się ze swoimi zamiarami i robiłam wszystko, żeby szerzyć dobrą energię w sposób nieortodoksyjny.

Chyba od zawsze byłam taka, a rollercoaster zdarzeń ostatnich czterech lat jeszcze to zintensyfikował. Rodzice opowiadali, że od dzieciństwa przynosiłam do domu zbłąkane koty i ptaszki ze złamanym skrzydełkiem, a kiedy jedna z koleżanek w klasie po wypadku samochodowym wylądowała w szpitalu na dwa tygodnie, niemal przeprowadziłam się do niej i przez czternaście dni grałam z nią w planszówki i szyłam ubranka dla lalek.

A potem pieprzony sprawiedliwy los dobrał się do mojego tyłka. A raczej kości. Stop! Nie chciałam wracać do tego myślami.

Jedyny problem polegał na tym, że byłam niecierpliwa, a fakt, że czas nie działał na moją korzyść, tylko dodatkowo mnie wkurzał.

Leżałam na łóżku Ashtona, wymachując gołymi nogami w powietrzu i ciesząc się, że kondycja skóry nóg i ramion tak bardzo się poprawiła. Sterydy pomogły i już niemal bez wstydu mogłabym się komuś pokazać. Mogłabym się pokazać Chase'owi.

Tak bardzo chciałam mu się pokazać i nie zobaczyć w jego oczach tego, co ujrzałam w twarzy Jamesa.

Tymczasem leżałam i rysując w głowie możliwe scenariusze, uruchomiłam odliczanie do powrotu chłopaków. Tylko mnie mógł przyjść do głowy hipotetyczny *countdown*, ale jego jedyna funkcja sprowadzała się do zabicia czasu i skutecznego zajęcia moich myśli.

Jakby co, *countdown* to zło.

Zwłaszcza gdy nie masz pewności, do kiedy odliczasz.

W każdym razie miałam świadomość, że to, co robię, jest całkowicie pozbawione sensu i logiki.

Przede wszystkim martwiłam się o Everlee, ale odrobinę martwiłam się też o Ashtona. Na myśl o Chasie po raz kolejny poczułam w żołądku chmarę motylków wielkości pterodaktyli i wcisnęłam twarz w poduszkę. Wiem, powinnam spać na kanapie, ale wyjechali tak szybko, że nie zdążyłam z nimi ustalić żadnych szczegółów. A skoro nie zdążyłam ustalić żadnych szczegółów,

to równie dobrze mogłam sobie powciskać twarz w poduszkę, jeśli naszła mnie ochota, prawda?

Poduszka nic złego mi nie zrobiła.

Everlee była dla mnie ptaszkiem z utrąconym skrzydełkiem, a Chase zabłąkanym kotem. Rysiem. No dobra, niech będzie, tygrysem. Tygrysiem? Pewnego dnia poczułam, że chcę mu pomóc odnaleźć drogę do domu i dowiedzieć się, dlaczego błękitne oczy chłopaka większego od wszystkich naszych zmartwień razem wziętych, przesłania dziwny wyraz udręczenia. Tyle że choć na co dzień byłam jak bomba energetyczna i gadałam jak nakręcona, Ashton miał na mnie działanie zwalniająco-rozpraszające. Moje myśli toczyły się pod czaszką zwykłym gwałtownym trybem, ale mózg najczęściej nie był w stanie doprowadzić ich do aparatu gębowego. Milkłam jak publiczność w filharmonii.

To naprawdę cud, że rodzice pozwolili mi podjąć studia, uwalniając mnie spod nałożonego przez lekarzy klosza, a ja postanowiłam ten cud wykorzystać na maksa. A teraz musiałam wrzucić na luz, puszczając wodze fantazji, komu skopię i co, gdy go tylko zobaczę.

Kiedy w końcu usłyszałam upragnione kliknięcie zamka, podskoczyłam razem z ciśnieniem.

Nareszcie! Wrócili!

— Lee? — zawołałam, wybiegając z pokoju. — Ash, Frost, gdzie macie Lee?!

Ich spojrzenia ani trochę mi się nie spodobały.

— Ash… Frost… — warknęłam, powoli cedząc słowa. — Zapytam bardzo grzecznie… Gdzie. Macie. Everlee. Angel. Jones?

Maverick najwyraźniej uznał, że nie jest mi winien żadnych wyjaśnień, bo ze spojrzeniem zbitego psa z zanikiem pamięci odwrócił się, wszedł do swojego pokoju i z hukiem zatrzasnął drzwi.

Skupiłam się więc na drugiej blond ofierze mojego gniewu.

— On jest totalnie nieprzewidywalny, okej? — Ash wsunął palce we włosy i odetchnął głęboko.

Boże, jaki był zmęczony. Gdybym nie była taka spanikowana, podbiegłabym do niego i obsypała jego twarz pocałunkami. Być może. Otrząsnęłam się z dziwnej chwili słabości.

— Zamknął się w sobie, pojechał tam, załatwił temat i wrócił.

— Wrócił — powtórzyłam z niedowierzaniem.

— Przestał się odzywać, a nawet kiedy coś powie, to mam wrażenie, że drugą połowę dopowiada sobie w tym swoim porąbanym łbie. Powiedział jej, że nie przyjechał tam za nią, tylko za Angel. Że przyjechał uratować Angel, rozumiesz?!

— Wow. Chyba muszę usiąść.

Opadłam na kanapę, pospiesznie zakrywając gołe nogi kocem. Na szczęście byłam tak szybka, że Ash niczego nie zauważył. To nie był najlepszy moment, żeby rozmawiać o kondycji mojej skóry.

Westchnął i usiadł obok. Nie zorientował się, że nasze kolana się zetknęły i że nawet taki kontakt z nim mnie przerasta. Nie zwracał uwagi na to, jak na mnie działa, ale ja wciąż miałam w pamięci felerny wieczór, kiedy obdarzaliśmy się wzajemnie pieszczotami,

a potem ostatecznie daliśmy sobie… kosza, jak to się ładnie mówi. Postanowiłam jednak, że skoro on nie zauważa tego minimalnego kontaktu, nie będę zwracać jego uwagi, odsuwając się. Byłam zła, ale chłonęłam jego ciepło przez udo. Mój organizm sam najlepiej wiedział, jak zadbać o fizjologiczną termoregulację.

Ashton Chase był głównym sponsorem gospodarki cieplnej mojego głodnego organizmu. Aaaa!

Everlee Jones. Everlee Jones, Everlee Jones. Skup się na utrąconym skrzydełku, egoistyczna babo!

— To się zdarzyło tak szybko, że przestałem nadążać — kontynuował Ash, zupełnie nieświadomy moich rozterek. — Złożyliśmy zeznania, a potem Frost zostawił ją z policją, pożegnał się i wsiadł do samochodu. Musiałem pojechać z nim, Haven, co innego mogłem zrobić? — Popatrzył na mnie pełnym rozpaczy spojrzeniem. — Przeprosiłem ją, ale musiałem pobiec za nim, bo nie miałem pojęcia, dokąd pojedzie i co planuje. Musiałem go uchronić przed nim samym.

— I co? Pomogło? — zapytałam ironicznie, nie wiedząc, czy ogarnia mnie wściekłość, groza czy bezbrzeżne rozczarowanie.

Ashton ponownie przesunął palcami po włosach niczym chłopiec, który nie wie, gdzie pobiegł jego ukochany kotek.

— Nieszczególnie.

— Mam nadzieję, że było warto, Chase — rzuciłam z pogardą, ostatecznie odsuwając się od źródła ciepła. — Mam nadzieję, że było warto.

Po tych słowach ruszyłam do jego pokoju po swoje rzeczy, włożyłam długie spodnie, po czym wróciłam, żeby stanąć naprzeciw błękitnych studni jego udręczonych oczu. Dobrze mu tak. W końcu każdy z nas odpowiada za własne wybory i potem musi się rozprawić z własnymi demonami.

Taką bronią, jaką ma do dyspozycji.

— Haven — westchnął, wstając z kanapy. — Nie patrz tak na mnie.

— Niby jak? — zapytałam trochę z fochem, a trochę z tęsknotą za tamtym wieczorem, który już się nie powtórzył.

— Jak tamtej nocy — powiedział otwarcie, jakby doskonale wiedział, o czym myślę. — Umówiliśmy się, że będziemy przyjaciółmi, i jak dotąd świetnie nam szło. Opowiedziałem ci o sobie wszystko i wiesz, że nie jestem w stanie związać się z nikim i z niczym poza piłką, a i z nią ostatnio nie za dobrze mi idzie. — Uniósł mój podbródek. — Z całych sił nadal chcę być twoim przyjacielem.

Odtrąciłam jego dłoń. *Friend zone* to specjalny krąg piekła.

— Tyłek skopię ci później, kiedy już tu wrócę z Everlee, przyjacielu — oświadczyłam wojowniczo. — Znasz to powiedzenie? Jeśli chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam? Nie rozumiem, jak mogłeś go nie zatrzymać! — wróciłam do głównego wątku naszej rozmowy.

— On nie myślał trzeźwo, nie dał mi wyboru! — Ashton wyrzucił ramiona w górę.

— Trzeba mu było strzelić z pięści i wyprostować myślenie!

— Wiesz, co myślę o przemo…

Uniosłam dłonie. No tak, Ashton i przemoc, a raczej jej brak.

— Czasem, żeby zaprowadzić pokój, trzeba stoczyć walkę, wiesz? — powiedziałam. — Rzuciłabym w niego kaktusem, gdybym tam była, powiedziałabym policji, że jest pijany, cokolwiek, żeby tylko nie wsiadł za kółko! Lecę do niej, Chase. Mam nadzieję, że masz jej adres — zreflektowałam się w porę.

Pokiwał głową i wyjął z kieszeni smartfon, gdzie pod nazwiskiem Lee na liście kontaktów miał zapisany jej adres.

— Na szczęście byłem na tyle przytomny, żeby podczas policyjnych czynności go sobie zapisać. Myślałem, że z nią tam pojedziemy, ale jak się okazało, Mav inaczej sobie to wszystko zaplanował…

Uciszyłam go gestem dłoni.

— Teraz nie mam czasu na twoje wykręty. Zobaczymy, jak się będziesz tłumaczył później, kiedy przyjdę po ciebie.

Gdy Everlee wreszcie przestała się nad sobą użalać i wynurzyła się na powierzchnię bagna, które zaczynało powoli wsysać nas obie, odetchnęłam. Wyściskałam ją, wyprzytulałam i oddałam trochę ciepła, które zgromadziłam od Ashtona, a potem strzeliłam taką przemowę

jak moja mama w najbardziej buntowniczych czasach mojego okresu dorastania. I nie mam tu na myśli znoszenia do domu ptaszków i kotków, tylko tego, co zafundowałam jej potem.

A żeby przypadkiem nie wszystko, co mówię, wpadało jednym ślicznym uchem Everlee, wypadając drugim, wyprowadziłam najcięższe działo:

— Wybacz, że wyciągnę i ten argument, ale, do diabła, Lee, twoi rodzice nie chcieliby cię widzieć w takim stanie. — Proszę bardzo. Po pierwsze, nie zamierzałam przyjąć do wiadomości, że to jest cios poniżej pasa, a po drugie, planowałam powiedzieć cokolwiek, żeby ją otrzeźwić. Podziałało. — Tak naprawdę wcale mnie nie potrzebujesz, Everlee — kontynuowałam łagodniejszym tonem. — Ty już dawno postanowiłaś, żeby zacząć wszystko od nowa. Wtedy, kiedy złożyłaś papiery na studia po drugiej stronie kraju. Wtedy, kiedy się stąd wyrwałaś. Ja po prostu teraz muszę ci tylko o tym przypomnieć.

Siedziałyśmy na kanapie w jadalni, obserwując wiatr popędzający chmury. Mnie kojarzyły się z pianką na cappuccino. Nie piłam kawy już co najmniej dobę, jeśli nie liczyć brei na pokładzie samolotu. Tak w ogóle to jakaś absolutnie porąbana umowa społeczna — obsługa udaje, że serwuje kawę, a pasażerowie udają, że im smakuje. Kusiło mnie, żeby wyskoczyć do jakiegoś baru po coś do zjedzenia, ale bałam się, co podczas mojej nieobecności mogłoby Lee strzelić do głowy, więc byłam twarda i konsekwentnie siedziałam na tyłku. Jadąc z lotniska wynajętym priusem, takim samym jak

mój, zatrzymałam się wprawdzie po niewielkie zakupy, ale o kawie nie pomyślałam.

Może to po prostu czas, żeby polubić się z herbatą? Tylu amatorów herbaty nie mogło się mylić… Na półce nad blatem w kuchni widziałam wiśniową melisę. Zdecydowanie przyda mi się coś na ukojenie nerwów, a wiśnia będzie pasować do końcówek moich włosów.

— Jesteś niesamowicie dzielna, kochana — zapewniłam, mocno ją ściskając. — A ja jestem pewna, że już wyczerpałaś całą przysługującą człowiekowi ilość pecha i teraz musisz po prostu zawalczyć o swoje. — Wstałam i zaczęłam przygotowywać składniki na spaghetti bolognese, mając nadzieję, że to, co właśnie powiedziałam o pechu, dotyczy również mnie samej. Nastawiłam też wodę na meliskę. — No i sama pomyśl, zamiast kłamców i morderców teraz otaczają cię same przyjemne egzemplarze. — Uśmiechnęłam się, całkowicie ignorując gromy w jej spojrzeniu. — No co? Ja jestem najbardziej kaloryczną babeczką w twoim jadłospisie, a Chase, Grant i Frost to smaczne ciacha. Frosta już zresztą próbowałaś…

— Madson! — oburzyła się wreszcie.

Uff, bo już się bałam, że złożyła śluby milczenia.

— To, że faceci to idioci, kobiety wiedzą od stuleci — kontynuowałam, krojąc cebulę. — Im trzeba prosto z mostu: albo jesteś zainteresowana, albo nie jesteś. Każdy stan pomiędzy powoduje ich totalne zagubienie i podkopuje męskie ego. A ego Frosta nie zmieściłoby się w tym pokoju. To świetny gość — pospieszyłam z zapewnieniem. — Gdyby mógł, uratowałby pół świata

i oddał organy do przeszczepu. I to bez znieczulenia. Ale ty mu całkowicie namieszałaś w głowie. I ślicznie wyglądasz, kiedy nie jesteś już blada jak trup, tylko czerwienisz się jak krewetka… Ale on naprawdę cierpi. — Zapach przysmażonej cebulki przypominał mi o tym, że nie jadłam od wieków. — Miałam ochotę ich obydwu rozszarpać, kiedy wrócili bez ciebie, ale byli rozbici jak moje auto rok temu. — Czy Everlee zachichotała? — Skasowałam je na złom, a sama wyszłam bez szwanku. Patrząc na tych naszych futbolistów, też miałam wrażenie, że mogłabym ich własnoręcznie zezłomować, chociaż na zewnątrz niby tacy przystojni jak bracia Sprouse.

— Błagam cię, Madson, zajmij się smażeniem, bo czuję, że zbliża mi się migrena — jęknęła.

— Nie martw się, migreny są jak ludzie: przychodzą i odchodzą, na to przynajmniej mogę ci odpalić jakieś tabletki. — Mrugnęłam do niej. — A co do Frosta, to potrzebujemy działania. I planu. I planu działania.

— W kółko tylko nawijasz o Mavericku, jakbym była w stanie chociaż na chwilę o nim zapomnieć… — Złapała się za głowę. — A nic nie powiesz o tym twoim ciachu, które zostawiło mnie na chodniku tak samo jak Frost.

— Nie mów mu, ale za karę zjadłabym to ciacho i zlizała okruszki! — oświadczyłam bez zażenowania.

Proszę bardzo, kiedy go tu nie było, mogłam sobie pozwolić na takie smakowite marzenia.

— Zjeść ciastko i mieć ciastko… — mruknęła pod nosem Lee.

— Słucham?

— A jeszcze nie zjadłaś? — zapytała głośniej.

No proszę, najwyraźniej ten manewr taktyczny sprawił, że Jones żywotnie się zainteresowała moim niewielkim problemem.

— Albo go przerażam, albo wcale nie pociągam — przyznałam wbrew sobie. Dziś musiałam uchylić rąbka tajemnicy, żeby Lee nie nurzała się wyłącznie w swoim smutku, tylko trochę potaplała w moim. — Albo jedno i drugie. Poza tym on mnie bardzo… deprymuje.

— Deprymuje?

— Jest taki… wspaniały i łagodny, idealny jak obrazek Matki Boskiej i seksowny jak niski wokal. — Teraz Jones wybuchnęła śmiechem. I dobrze. — Mam ochotę modlić się do niego i nucić jego imię nawet przy smażeniu pomidorów.

— Powinnaś się leczyć.

Odwróciłam się z groźnie wycelowaną w przyjaciółkę drewnianą łopatką.

— Skupmy się raczej na tym, jak roztopić tego twojego Frosta.

— Roztopić Frosta?

— Jezu, Everlee, powtarzasz za mną wszystko jak upierdliwe echo. — Uśmiechnęłam się. — Tak piszą w uniwersyteckim magazynie, który ściągnęłam sobie na telefon, żeby przejrzeć w samolocie. Na twoim miejscu zapoznałabym się z wywiadem w aktualnym numerze.

Z rosnącym uczuciem triumfu skończyłam mieszanie w życiu uczuciowym Lee, a skupiłam się na mieszaniu

na patelni. Oddawałam siebie światu komórka po komórce, żywiąc nadzieję, że mój garnek złota też znajduje się gdzieś na skraju jakiejś tęczy.

Mimo wszystko. W końcu nadzieja zdycha ostatnia, no nie?

Rozdział 3

Ashton

Marzyłem o tym, żeby wyjść, trzaskając drzwiami, i uciec do motywacyjnej szatni o czerwonych ścianach — tajnej broni trenera Mallory'ego. Miałem ochotę zawyć albo zaryczeć i wyzwolić to całe ciśnienie, które groziło rozsadzeniem czaszki.

Maverick i Haven byli na najlepszej drodze, żeby mnie wykończyć.

Frost nie otwierał drzwi, a Madson nie odbierała komórki.

Teraz rozumiem, dlaczego ją tak nosiło. Będąc w Arizonie, naprawdę nie byliśmy w stanie zdawać raportu na temat postępów w śledztwie, a powrót okazał się dla mnie bardziej wyczerpujący niż mecz o awans do play-offów.

A wiadomo, jak w tej materii nam poszło.

Zachowanie przytomności i nie zabicie nas na drodze oraz pilnowanie Mavericka przed wyrzutami sumienia i wyraźną bezsilnością totalnie mnie wycieńczyły. Nie po raz pierwszy od lat czułem, że życie zaczyna mnie przerastać. Miałem ochotę coś rozwalić, ale przecież poza boiskiem unikałem przemocy, podobnie jak mojego ojca. Miałem ochotę się upić, ale przecież nie piłem. Chciałem

zasnąć, ale wpadłem w panikę, kiedy się okazało, że cała moja pościel pachnie jak skrzynka pomarańczy.

Znałem ten zapach. Znałem go doskonale. Ostatnio wypełniał mój plecak, moją szafę, moje myśli i, daję słowo, nawet lodówkę. Wydawał mi się tak intensywny, że dałbym głowę, że unosi się nad miastem.

Nie miałem pomysłu, jak się go pozbyć. Madson wprawiła w drżenie wszystkie moje organy, kiedy tylko ją zobaczyłem. Wydawała mi się jak tęcza — piękna, ulotna i nieosiągalna, ale cudownym zrządzeniem losu została. Everlee i Maverick pracowali nad wspólnym mianownikiem, więc i my siłą rzeczy zostaliśmy wciągnięci do ich równania. Tyle że ja bardzo szybko zdołałem się zorientować, kim jestem dla Haven.

Od tak dawna obracałem się wśród ludzi obsesyjnie dążących do zrobienia czegoś dobrego dla świata, który z uporem maniaka dla nas nie miał do zaoferowania zupełnie nic, że bez pudła rozpoznawałem miłosną samarytankę. Jezu, co ja mówię?! M i ł o s i e r n ą! Czy ja naprawdę pomyślałem o m i ł o s n e j?

To, że Maverick w zamierzchłych czasach postanowił na placu zabaw, że uratuje mnie przed ojcem i że zostaniemy przyjaciółmi na śmierć i życie, to jedno. Ale że najpiękniejsza dziewczyna poruszająca się w oparach cytrusów będzie chciała mnie uwieść tylko po to, żeby mi udowodnić, jakim jestem wartościowym gościem, to już naprawdę było przegięcie.

Nie mogłem spędzić z nią nocy, żeby poprawić sobie humor, a ona rozumiała mnie zupełnie na opak. Ku mojej rozpaczy nie potrafiłem jednak tak po prostu

zrezygnować z jej towarzystwa. Nawet chwile, gdy pełnym zachwytu nad życiem głosem rozmawiała przez telefon ze swoją mamą, były tego warte.

Jak można tak całkowicie bez skrępowania zachwycać się życiem?

Świadomość, że istnieją ludzie, których matki przepitym głosem nie dzwonią do nich tylko po to, żeby pożyczyć kilkadziesiąt dolców, była dość ożywcza. Choć nie mogłem powiedzieć, że w moim życiu brakowało matki, bo od lat tę pozycję okupowała z sukcesem Joyce Frost, to nie było między nami takiej zażyłości, żebyśmy do siebie dzwonili. A już na pewno nie po to, żeby dać drugiej osobie do zrozumienia, że ci na niej zależy.

A Haven żyła tak, żeby ludzie w jej otoczeniu mieli tę pewność. Trudno było nie pragnąć, żeby choć chwilowo znaleźć się w strefie jej… promieniowania. Tamtego pamiętnego wieczoru wymieniliśmy pieszczoty, pocałunki, oddechy i słowa, a ja pozwoliłem sobie na dwie godziny zapomnienia, udając, że zasługuję na to, co chciała mi podarować. Na szczęście w porę się opamiętałem i spróbowałem się przed nią otworzyć, żeby zrozumiała, że jej nie odtrącam, tylko daję możliwość odwrotu.

Zostawiła mnie wtedy z mieszaniną wyrzutów sumienia i dumy, a ja odtąd przy każdym naszym spotkaniu peszyłem ją i zawstydzałem, choć starałem się od czasu do czasu żartować i flirtować — wszystko po to, żeby wywołać jej uśmiech i czerwień policzków. Najlepsze było to, że chyba tylko ja tak na nią działałem, choć nie miałem bladego pojęcia, czym sobie na to zasłużyłem.

Nadawała nieustannie jak elektryczny telegraf podczas wojny, przy mnie jednak cichła i otwierała szeroko szaroniebieskie oczy, w których jak u postaci z kreskówki rysowały się dwa olbrzymie znaki zapytania.

W takich chwilach miałem ochotę pochwycić ją i uczynić moją, ale panicznie się bałem, że znów zrobię coś nie tak. Udawałem więc sam przed sobą, że nie warto nic zmieniać między nami. Że co nagle, to po diable. Że po pierwsze, drugie i piętnaste musimy uratować Everlee, a cała reszta jakoś się ułoży.

Tyle że moje życie przez dwadzieścia lat jakoś nie zdążyło się poukładać.

I boleśnie uświadomił mi to sygnał nadchodzącego połączenia.

Michelle.

Westchnąłem i nie bardzo wiedząc, po co odkładać rozmowę, która i tak mnie nie ominie, dotknąłem zieloną słuchawkę.

— Cześć, m…mamo — zacząłem ostrożnie, postanawiając się pilnować, by tym razem nie doprowadzić do kłótni w ciągu dwóch pierwszych zdań. — Jeśli chciałaś się dodzwonić do pomocy społecznej, pomyliłaś numer.

Zacisnąłem powieki. Czy nie mogłem wytrzymać choćby minuty?!

— Też się cieszę, że cię słyszę, synu — odparła bełkotliwie. — Tam dzwonię, kiedy chcę usłyszeć czyjś miły głos, a do ciebie, żeby sobie przypomnieć, że nic nie znaczę.

— No patrz, to tak jak ja. — Ta rozmowa jak zwykle prowadziła donikąd. — Po co dzwonisz?

— Nie przyjechałeś do domu na Święto Dziękczynienia, więc chcielibyśmy z ojcem zaprosić cię na Boże Narodzenie — wychrypiała.

Jej głos pozbawiony był, niestety, jakiegokolwiek ładunku emocjonalnego, struny głosowe — zżarte od papierosów i wylanych strumieni taniego alkoholu. Nieco niewyraźny sposób mówienia sugerował, że nie piła dziś jedynie kawy.

— Przecież obiecałem, że pomyślę, czy wpaść — powiedziałem z rozdrażnieniem. — Nie musisz mi co pół roku przypominać. Dam znać, kiedy się zastanowię.

— Ash… skończ wreszcie tę zabawę w studia i zajmij się prawdziwym życiem — westchnęła teatralnie.

— Nie zamierzam tego komentować.

— Ty i ojciec musicie wreszcie wszystko sobie wytłumaczyć…

— …on wielokrotnie usiłował mi wszystko wytłumaczyć ręcznie, mamo — przerwałem. — Już mi się to znudziło. Kiedyś byłem dzieckiem zaniedbanym. Dzieckiem porzuconym. Dzieckiem maltretowanym. Dzieckiem, które zmuszano, by znosiło towarzystwo obcych pijaków na libacjach.

Czy musiałem torturować się psychicznie i wracać do nich w telefonach, w rozmowach, w koszmarach? Wracać od święta, bo tak wypadało? Bo tego sobie nagle zażyczyli? Czy musiałem słuchać tego, co mają mi do powiedzenia?

— Ash… — wychrypiała ponownie słuchawka znienawidzonym głosem z przeszłości.

— Odezwę się, mamo.

Zakończyłem połączenie.

Może tak, a może nie.

Rozpadałem się jak domek z drewnianych klocków, do ukończenia którego dziecku zabrakło kleju na gorąco, wikolu czy choćby zasranej taśmy. Czułem się coraz bardziej nieporadny, a trener Mallory coraz bardziej niecierpliwy.

Nie posiadałem złotego środka, jak to wszystko naprawić, jak naprawić siebie. Jedyne złoto, jakie znalazło się niedawno w moim pobliżu, przyniosła ze sobą Haven.

I zdecydowanie nie należało do mnie.

A na pożyczkę nie było mnie stać na milion procent.

Rozdział 4

Maverick

Od kilku dni śledziłem apdejty na stronie www.redrocknews.com. Każdy poranek rozpoczynałem garścią aktualnych informacji z lokalnego szmatławca, który był jedynym źródłem mojej wiedzy na temat sprawy szujowatego kuratora sądowego Dylana Hawkesa i łotra, którego brat odsiadywał dożywocie w stanowym więzieniu w Arizonie, Lincolna Hursta. Usiadłem przy wyspie na stołku barowym z parującą kawą i telefonem komórkowym i dopiero kiedy kubek rozprysł się na podłodze na setki kawałków, uświadomiłem sobie, że musiałem go zmieść z blatu pełnym wściekłości ruchem.

Czy my żyliśmy w jakimś alternatywnym świecie, w którym sprawiedliwość triumfowała najwyżej w filmach Pixara?

www.redrocknews.com

W ubiegłym tygodniu lokalną społecznością Camp Verde pod Sedoną ponownie wstrząsnęła sprawa morderstwa Emmy i Ethana Jonesów sprzed dwóch lat. Choć sprawcę brutalnego morderstwa wtedy zatrzymano, osądzono i skazano prawomocnym

wyrokiem na karę dożywocia, to oczyszczenie z zarzutów córki ofiar pozostawiło pewien niesmak.

Mieszkańcy wypowiadali się o Angel, córce Emmy i Ethana, nie kryjąc oburzenia.

„Kto przy zdrowych zmysłach zadaje się z łobuzem i udaje, że nie wie, że chłopak kradnie i stosuje przemoc?" — grzmieli. „Diabelskie nasienie".

„Ciągnie swój do swego, prawda?".

„Zeszli się, przekabacił ją, to mu pomogła z zimną krwią zaplanować, jak się pozbyć starych".

„Taki z niej niby anioł był, oczarowała sędziego i ławę przysięgłych, ale myśmy ją znali od małego, zepsute toto i rozwydrzone. Ja tam swoje wiem".

„Nawet jeśli sprawiedliwość tu, na ziemi, chwilowo zawiodła, to jeszcze będzie się smażyć w piekle. Bezwstydna dziewucha".

Rodzinna miejscowość, o której wtedy usłyszała cała Ameryka, aż huczała od podobnych wypowiedzi, które teraz przywołujemy.

Postanowiłem zacisnąć powieki i odetchnąć, a palce dłoni zbyt mi drżały, żebym był w stanie pozbierać skorupy i zmyć plamy po kawie. Wdech, wydech.

Wróciłem do czytania wiadomości.

Kiedy więc w ubiegłym tygodniu córka ofiar pojawiła się w rodzinnym miasteczku i za jej sprawą tym razem zatrzymano jej byłego kuratora sądowego, powszechnie poważanego młodego człowieka,

a wraz z nim brata mordercy Ethana i Emmy, wśród mieszkańców ponownie zawrzało.

Źródła zbliżone do policji donoszą, że Angel Jones jakoby pojawiła się w Camp Verde wbrew swojej woli, przywiedziona podstępem zorganizowanym przez brata swojego byłego narzeczonego, Logana. W całą sprawę miał być jakoby zamieszany kurator Dylan Hawkes.

Dziadkowie pani Jones zachodzą w głowę, co ostatecznie sprowadziło „diabelskie nasienie" do domu, choć nie mają wątpliwości, że tym razem młodej kobiecie coś najwyraźniej pokrzyżowało szyki. A to, że zarzuty, jakie usłyszeli Hawkes i Hurst, musiały być wyssane z palca, niech potwierdzi fakt, że Angel Jones wycofała się i nie zdecydowała dochodzić sprawiedliwości w sądzie.

„No chyba ktoś przekonany o własnej nieomylności i słuszności własnego postępowania raczej by się tak szybko nie wycofał, co nie?" — próbują doszukiwać się sensu w całej sprawie zaniepokojeni mieszkańcy.

Trudno odmówić temu rozumowaniu logiki.

Młoda kobieta zdecydowanie nie ma czego szukać w Camp Verde. Zamiast spokoju przyniosła pomówienie, które eskalowało do lokalnej afery, runęło falą oszczerstw i skarg, po czym ucichło jak okolica po lawinie skalnej.

Uświadomiłem sobie, jak mocno ściskam iPhone'a, dopiero kiedy moich uszu doszedł delikatny trzask. Zwolniłem uścisk, odłożyłem aparat i oparłem czoło o blat.

To się nie działo naprawdę.

A ja, idiota do potęgi n-tej, po prostu ją tam zostawiłem! Zostawiłem ją w tym gnieździe żmij!

Wiedziałem, dlaczego to zrobiłem. Działałem jak rycerz i misjonarz w jednym, walczyłem o nią, o jej duszę, jej pewność siebie, jej życie, ale nie chciałem być jej wyjściem ewakuacyjnym.

Chciałem być jej świadomym wyborem.

Bo każdy ma swoje granice.

Każdy ma granicę, poza którą nie wyjdzie, może jedynie stanąć przy tej granicy i powiedzieć: Teraz czas na ciebie.

Ale czy na pewno postąpiłem właściwie?

Rozdział 5

Everlee

Zasnęłam, słuchając trajkotania Haven na temat Asha, futbolu i wymarzonych randek, na których nigdy nie była i na które się wybierała. Brzmiała tak, jakby przed ukończeniem dwudziestki musiała wynaleźć lekarstwo na raka, oddać komuś nerkę, mieszkanie i zainwestować w coś dolaropłodnego. Zachowywała się tak, jakby każda minuta ciszy i spokoju oznaczała jakiś regres, cofkę, halt i klęskę — była nieznośnie żywa i nieznośnie głośna.

I to bez kawy. Uznała, że nadszedł czas, żeby pokochać herbatę, i testowała to, co znalazła w szafce — czarną z aromatem jagody i wanilii, zieloną z opuncją, białą z agrestem. I ulubioną herbatę mamy — pokrzywę z mango.

Być może chciała mnie nawet namówić na wspólne robienie *fudge* — czekoladowej krówki — z mleka, cukru i masła. Miała chyba jakąś krówkową obsesję, ale bałam się ją o to zapytać. Głowę bym dała, że tłumaczyła też coś o mustangach i jednorożcach, ale nie miałam pewności.

Nie miałam też pojęcia, czym jestem wykończona bardziej — płaczem czy nieustannym ględzeniem przyjaciółki. P r z y j a c i ó ł k i. Uśmiechnęłam się. Miałam

przyjaciółkę, która wiedziała, kim jestem, kim byłam, a jednak przyjechała, żeby wydrzeć mnie moim prywatnym dementorom.

Kto by pomyślał?

Słuchałam Haven z zamkniętymi oczyma i głową na oparciu kanapy.

Było tyle miejsc, w których mogłam być. Tyle rzeczy, które mogłabym zrobić.

Teoretycznie i niehistorycznie.

W praktyce jednak schowałam się w domu, w którym mieszkały już tylko duchy nieistniejących ludzi i nieistotnych historii, które rozpłynęły się w dymie wystrzału. Które sąsiedzi i byli znajomi wdeptali w czerwoną ziemię Arizony, a Dylan zbrukał i zniszczył do cna.

Na posterunku musiałam przedstawiać obraz nędzy i rozpaczy. Nie triumfowałam, nie cieszyłam się, że Dylan i Lincoln zniknęli z mojego życia przynajmniej na pewien czas. Nie opijałam zwycięstwa.

Pomachałam życiu na pożegnanie i zamknęłam drzwi rodzinnego domu, postanawiając, że już nigdy go nie opuszczę. Ale zanim zdążyłam zależeć się na śmierć i doprowadzić do końca swoje „nigdy", pojawiła się Haven i w ciągu dwóch minut wywołała u mnie ból głowy.

A wtedy moje ciało najwyraźniej zdało sobie sprawę, że skoro musi pilnie zwalczyć migrenę, to do umierania mu jeszcze daleko.

Patrzyłam na przyjaciółkę i odnosiłam wrażenie, że ma ochotę komuś przyłożyć. Może mnie, może Frostowi, może Chase'owi, terapeutom tylko z nazwy, a może wszystkim mieszkańcom tego pieprzonego miasteczka

po kolei. Z wyjątkiem ludzi na posterunku, w biurze marshala, bo oni dla odmiany byli dla mnie całkiem mili, więc ich wspaniałomyślnie postanowiła oszczędzić.

Im dłużej Haven paplała, tym mniej umierałam, a bardziej się ożywiałam. Po kilku godzinach w jej towarzystwie doszłam do wniosku, że od początku miałam nadzieję, że ktoś mnie wyciągnie z tej czarnej dziury i nie pozwoli mi w niej wyschnąć na wiór. Im przytomniejsza się stawałam, tym większą złość odczuwałam na Mavericka i Ashtona za to, że mnie porzucili, i tym bardziej chciałam znów ich zobaczyć, żeby wykrzyczeć im w twarz całą frustrację, całe rozczarowanie i… chociaż raz jeszcze zobaczyć z bliska faceta, który dał Lincolnowi po mordzie.

Nie zdążyłam go za to nawet pocałować.

Na samą myśl o tym, jak namiętnie chciałabym mu podziękować, budziło się we mnie życie po życiu. A fakt, że nie miałam pojęcia, co chciałam zrobić bardziej — zacałować go z wdzięczności czy z wściekłości go pogryźć, uzmysławiał mi, że moje wszystkie postanowienia, żeby się, broń Boże, nie angażować, wzięły w łeb.

I nagle zmartwiałam, że odjechał rozczarowany i zły, i nie odezwał się ani jednym WhatsAppem, ani jednym esemesem. Że nie mam pojęcia, gdzie się szlaja i z kim, kto u niego przebywa i jak długo, komu pozwala dotykać swojej skóry, swojego tatuażu, swoich warg, swojej duszy; komu czyta wiersze. Że fakt, iż się ukryłam w rodzinnym grobie, oznaczał nie tylko bezbrzeżny smutek i żałobę po rodzicach, których już nigdy, przenigdy nie zobaczę, ale również po facecie, który mnie w sobie…

rozkochał… który na nowo rozpalił we mnie pragnienie życia, a potem ugasił ten żar kubłem lodowatej wody.

Westchnęłam, podłączając iPhone'a do ładowania. Wiedziałam, że Haven nie odpuści, dopóki nie przeczytam materiału o Mavericku, więc równie dobrze mogłam po prostu zedrzeć ten plaster jednym sprawnym ruchem, zamiast się tym katować albo odkładać ten temat na później.

Otworzyłam stronę naszej uczelni i kliknęłam zakładkę uniwersyteckiego czasopisma. Madson podeszła się upewnić, że posłusznie załadowałam w „East Cost Unimagazine" artykuł poświęcony futboliście, który kontrolował ostatnio każdy mój oddech i dostrajał moje tętno do swojego rytmu, po czym wróciła do gotowania obiadu.

Skoro czułam głód, to znaczy, że oprzytomniałam.

Zaczęłam czytać.

East Coast Unimagazine

MAVERICK Z NATURY, A OD SERCA FROST?

Drużyna East Coast Chargers zajęła w ekstraklasie dopiero dziesiąte miejsce, więc MVP ostatniej rozgrywki na pewno nie może być z tego zadowolony. Nie trzeba być analitykiem sportowym, żeby wiedzieć, że najbardziej wartościowym zawodnikiem ostatniego spotkania, które wprawdzie nie zdecydowało o awansie naszej drużyny do fazy play-off, ale znacznie poprawiło pozycję Chargersów w ogólnym rankingu, okazał się Maverick Frost. Ciężko pracował przez cały sezon i utrzymywał stabilną,

wysoką formę, w połączeniu z Ashtonem Chase'em i Jacksonem Grantem, przeprowadzając wiele spektakularnych akcji, które pozostaną w naszej pamięci na długo.

Kim jest rozgrywający z numerem siedemnaście, miłośnik futbolu i... — tak, proszę państwa, dobrze widzicie — poezji? W wywiadzie z nami mówi o swoich pasjach, przełamywaniu stereotypów i pozorach.

Usiadłam wygodnie, żeby przejrzeć wywiad — tak wygodnie, jak tylko da się siedzieć na rozżarzonych węglach, na szpilkach czy na skraju jutra.

Zdjęcie portretowe ukazywało Mava z nieprzeniknioną miną — Mava zdystansowanego, pewnego siebie, nieziemsko przystojnego i równie nieziemsko irytującego. Czy taki był teraz? Chmurny i zły? Nieprzystępny? Czy to jedynie złudzenie wywołane obiektywem aparatu kogoś obcego?

Całą stronę obok zajmowała fotografia trzech przyjaciół z boiska w pełnym rynsztunku — Mavericka, Ashtona i Jacka. Każdy z nich trzymał pod pachą kask, gotowy do walki i na podbój świata.

Podobał mi się ten wywiad. Nie miałam pojęcia, kim jest dziennikarka Angelina Hart, ale dzięki zadawanym przez nią pytaniom odnosiłam wrażenie, że Mav mówi do mnie. To znaczy, w drugiej części. Najpierw rozmowa kręciła się wokół wielkich przegranych i wielkich niespodzianek tegorocznych rozgrywek, a potem fazy play-off, która zmierzała do rozwiązania

w Super Bowl po Nowym Roku. Potem Angelina przeszła do prywatnych pytań i te zaciekawiły mnie znacznie bardziej.

Maverick nie mówił o rodzicach i o stracie brata, ale tłumaczył, że stara się żyć, robiąc to, co lubi, i jednocześnie angażując się społecznie. Na pytanie, jak godzi brutalność sportu z ulotnością poezji, odparł rozbrajająco: „Mam immunitet futbolisty; prawa, którymi kierują się inni ludzie, mnie nie dotyczą. To nie ja wybrałem sobie poezję, tylko poezja wybrała mnie, więc dlaczego mam z niej rezygnować?".

Poezja wybrała jego. Pomyślałam „poezja", a mózg podsunął mi wspomnienie nagiego ciała Mavericka, pięknego niczym grecki posąg i gorącego jak piasek pustyni Sonora w południowo-zachodniej części Arizony.

to jest szyba
to są drzwi
to jest woda

to jesteś Ty

Czy to dziwne, że poezja skojarzyła mi się z nagością? A wspomnienie nagości wywołało pożądanie? Zacisnęłam powieki, żeby uciszyć łomot wspomnień dobijających się do mojej głowy niczym niestrudzone zombiaki, i czytałam dalej.

Wreszcie dziennikarka zadała pytanie z nagłówka, rozbijając je na dwie części: czy Mav na boisku staje się porywczym ryzykantem niczym Daredevil? Odpowiedział,

że nie, nie uważa się za bardziej porywczego niż reszta drużyny…

„A dlaczego — pytała dalej Angelina — Maverick Frost nie ma drugiej połówki? Czy jego zdaniem nazwisko zobowiązuje i uznaje się za oziębłego? Czy jeszcze nikt nie rozgrzał jego serca skutego mrozem?”.

Co to za bezpośrednie pytania? Czy osoby pretendujące do miana dziennikarki nie powinny być obiektywne i taktowne?

„Już Rolling Stones śpiewali o tym, że nie zawsze ma się to, czego się pragnie” — odparł. „I tak jest ze mną. Moje serce wcale nie jest skute mrozem. Jakieś trzy miesiące temu oddałem je pewnej dziewczynie, ale niedawno wróciło do mnie jak bumerang. Szybko i brutalnie ścinając mnie z nóg. I teraz muszę z tym żyć”.

O Boże. Czy on naprawdę tak powiedział?

Dziennikarka wyraziła ubolewanie nad bezdusznością niektórych niewdzięcznych niewiast i życzyła rozmówcy, żeby jak najprędzej znalazł się ktoś, kto to serce poskleja.

Przełknęłam ślinę.

Artykuł kończył się jednym z wierszy Frosta. Nie miał tytułu, dedykacji, komentarza. Był krótki.

Ale był wszystkim.

wczoraj *— odziera mnie z* ***teraz***
sen *— gmatwa mi* ***wspomnienia***
koniec *— wykrada mi* ***chwile***
mrok *— odbiera mi* ***światło***

zadziej się inaczej
wczoraj wyśnij koniec mroku
teraz wspomnij chwile światła

Czułam, jak moje żyły wypełnia rozżarzony niepokój. Siedziałam, wgapiając się w ekran smartfona, rejestrując przypływ energii na przemian z wszechogarniającym uczuciem beznadziei. Patrzyłam, jak początkowe słowa z pierwszej zwrotki układają się w przedostatni wers, a wyrazy kończące wersy tworzą sens w ostatniej linijce. Czułam aromat potrawy nabierającej kształtów spod ręki Haven, owocowe aromaty jej herbat i rosnący apetyt, a po chwili brak apetytu. Serce waliło mi jak głupie, podczas gdy mózg składał literki w słowa, szukając drugiego i trzeciego dna. Przez moje ciało przetaczały się obsesyjne myśli, świadomość braku kontroli i rosnące pożądanie.

Matko na niebie, byłam zakochana. Zadurzona. Oczarowana. Zafascynowana.

I byłam totalnie, absolutnie, katastrofalnie bez szans.